

KIJ W MROWISKU - NIECH SIĘ MNOŻY

Wolę drogie restauracje z pięcioma parami sztuców do nie wiadomo czego – nawet jeśli stać mnie w nich jedynie na przystawkę – niż studenckie jadłodajnie z zupą za złotówkę. Uwielbiam sklepy z winami za połowę pensji i sprzedawcami zawsze chętnymi do uprzejmych rozmów. Przepraszam – lubię bogatych. Mogę nawet pisać dla nich wiersze na zamówienie i czekać, aż rzuca mi sakiewkę. To nic, że czasami rzuca na podłogę – najwyżej się nie schylę. Zresztą wśród bogatych jest tyle samo chamów, co wśród biednych. I tyle samo kulturalnych, sympatycznych ludzi. Zazdroszczę im tego bogactwa, ale jakoś nie za bardzo. Opracowania ekonomistów i socjologów z nierównością dochodów wiążą spowolnienie wzrostu, kryzysy finansowe, a nawet większą przestępczość czy skłonność do otyłości (przy czym tyć mają załamani psychicznie biedacy z underclass). Zupełnie tego nie rozumiem. Popadać w depresję, bo sąsiad jest bogatszy ode mnie? Ekscytować się wzrostem współczynnika Giniego? Z wypiekami na twarzy oglądać kolejne odcinki serialu Janosik i marzyć o powrocie zbójnika? To nie dla mnie – ja wolę różnorodność. Niech będą bogaci i biedni, a ja pomiędzy nimi, gdzieś w złotym środku. Prawdziwym problemem jest dopiero degradująca i odbierająca godność nędza. Właściwie to trochę mi żal bogatych – nie dość, że trudniej im wejść do Królestwa Niebieskiego, to jeszcze nikt ich nie lubi. Oburzeni się na nich oburzają, fiskus ostrzy sobie pazury na ich dochody, w kinie i powieściach prawie zawsze grają role czarnych charakterów. Są jak drapieżniki w filmach przyrodniczych: sympatia realizatorów zawsze jest po stronie stada wolno przeżuujących antylop. Stale drżą, że ktoś im coś ukradnie, a jednocześnie muszą kombinować, komu pomóc, by zagłuszyć wyrzuty sumienia z powodu swoich sukcesów. To do nich wyciągają rękę żebracy pod kościołem, charytatywne fundacje, lokalne samorzady i wreszcie – wcale nie na końcu kolejki – artyści. Taki biznesmen z listy 500 najbogatszych nie obejrzy spokojnie prac na wernisażu. Od razu zaczynają się bowiem podchody – ten chciałby nakręcić film, tamten wydać książkę. Każdemu trochę nie domyka się budżet... Zastanówmy się przez moment, czego człowiekowi potrzeba do szczęścia oprócz jedzenia i dachu nad głową. Potrzeba mu pracy, czyli działających blisko jego domu firm. Poza tym ogrzanego, wyremontowanego kościoła, niektórym grającego we własnym mieście klubu piłkarskiego, z którym można by się utożsamić, czasami jakiegoś dobrego koncertu. Nic z tych rzeczy nie może się dziś obyć bez sponsorów, fundatorów, mecenasów, czyli mówiąc po ludzku: dobrodziejów z otwartą głową i pełnym portfelem. Że robią to z próżności, że przy okazji załatwiają jakieś interesy, że sobie odpisują albo dopisują? A co mnie to obchodzi – ja chcę w poniedziałek i czwartek rano przeczytać w gazecie o zwycięstwie drużyny z naszego miasta (najlepiej w Lidze Mistrzów). Czemu w Łodzi nie ma oligarchów zakochanych w futbolu, czemu nie osiedlił się tu Abramowicz? Lub choćby David Lynch. W czasach kryzysu chyba bardziej potrzeba nam mądrego bogactwa niż sprawiedliwie, obywatelsko dzielonej biedy. Problem z bogatymi mam tylko jeden – nie zawsze zostają nimi ci, którzy powinni. Nie zgadzam się na fortuny przyznawane sobie samemu z racji pełnionej funkcji, gigantyczne odprawy po trzech miesiącach pracy, prowizje od milionowych transakcji zawieranych po znajomości itd. Natomiast bogactwo wypracowane, odziedziczone, wynikające z genialnego pomysłu lub wyjątkowego talentu – niech trwa i się mnoży.

Piotr Grobliński